

Juljusz ~ Kaden ~ Bandrowski.

Bitwa pod
Konarami

Kraków ~ 1915+.

JULIUSZ KADEN - BANDROWSKI

*BITWA
POD KONARAMI*

Kolekcja
Emila Kornasia

TEGOŻ AUTORA:

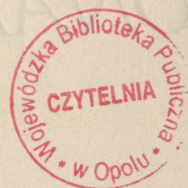
NIEZGULA, (powieść).
ZAWODY, (nowele).
PROCH, (powieść).
ZBYTKI, (nowele).
ISKRY, (nowele).
PIŁSUDCZYCY.

K R A K Ó W 1 9 1 5.

NAKŁADEM CENTRALNEGO BIURA
WYDAWNICTW N. K. N.

WYDZIAŁ KRAJOWY - WARSZAWA

BITWA
POD KOPANINAMI



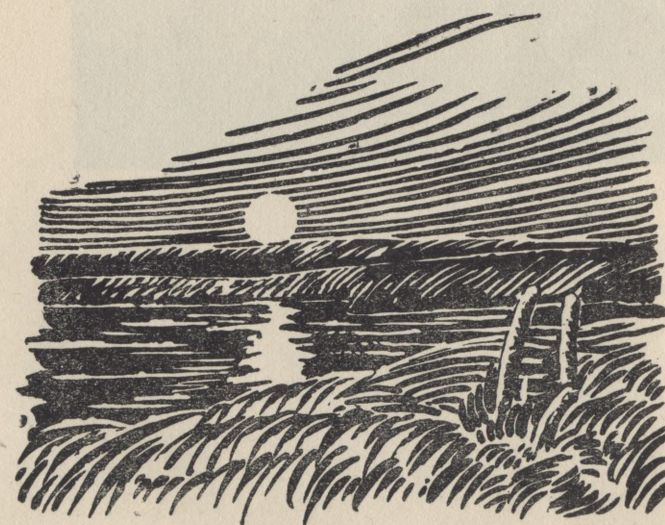
CM WEK 317103

ODBITO CZCIONKAMI Drukarni Narodowej
w Krakowie, we wrześniu 1915 roku.
Okładka i rysunki A. S. Procajłowicza.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. Dł nr48...../2012/.....CM

PRZEJŚCIE I. BRYGADY PRZEZ
NIDĘ.





Taborz podczaz burzy.

Potężne uderzenie pod Tarnowem i Gorlicami zatrzęsło całą rosyjską linią. Niby pierścienie stalowego węża skręcać się jęły i kurczyć jej zwoje, leżące wzdłuż olbrzymiego frontu od Litwy aż po Karpaty.

Echo gwałtownego złamania dobiegło Nidy koło 10 maja, zaś 11 tegoż miesiąca w nocy opuścili Rosyanie swe pozycje, wykonując już w pierwszym dniu odwrotu przeszło 60 km. marszu.

Trudno opisać radość, jaka ogarnęła całą Brygadę na wieść o rozkazach pościgu. Głośno się zrobiło wszędzie i wesoło jak we święta...

Stojąc długo na jednym miejscu Brygada obrosła w siaki taki dobytek, w przerozmaite »mienie«, na które w czasie pokoju niktby nie spojrział, które jednak w czasie wojny ceni się wysoko. Zaczęto więc ścisnąć węzłki, upychać plecaki, ugniatać wozy, równocześnie, wczesnym rankiem, drogą przez wieś do rzeki poleciał naprzód szwadron kawalerii. Jeno się w słońcu mignęły ostre kanty szwoleżerskich kasków — a z podków iskry, — jeno po sobie chmurę złocistą zostawili, a wśród chałup pogłos tętentu i szum...

Tymczasem we wsi pospiech się wzmagał i radość coraz większa.

Na progu izby, tam i sam siedział młody strzelec i czyścił karabin, — do nowej roboty, — na nowe kraje, światy, podboje...

Nie wiadomo skąd wzięły się i znalazły na piersiach czerwono-białe kokardy, jakby je wyrwał ktoś niespodzianie z tęczy wiosennego słońca i pierś żołnierzy niemi przewiązał.

Przemaszerowali saperzy, poważni, dumni, — mają budować most na Nidzie...

Przed okopami ruch panował ogromny.

Między naszym dość płaskim brzegiem i dawnym rosyjskim leżała Nida jak na aksamitach zieleni wstęga niebieska, białym sierpem fal haftowana. Opodal widniały grupki domów Pińczowa, zaś w lewo naprzeciw nas, surowy skłon góry Skowronnej, przeciętej żółtymi listwami okopów rosyjskich. Od miasta drogą aż ku rzece ciągnęli ustawicznie rozmaici ludziska, pieszo, na furach, z dziećmi, z tobołkami na plecach, odcięci losem wojny od reszty swoich i dziś mający się z nimi połączyć.

Na naszym brzegu uwijali się żołnierze, kończąc przygotowania do wymarszu...

A środkiem gościńca szło kilku wesółych strzelców w opasaniu wieńców sośniny, zaś jeden z nich niósł kwiaty na mogiłę towarzysza, który kilka dni temu padł na tamtym brzegu. Inni przed rozstaniem ozdabiali kwiatami tych parę krzyży, któreśmy tu po sobie zostawili. Ciecze z nich jeszcze zażywny sok poranionego drzewa...

Cały widomy szacunek, jakim można było ten cmentarz otoczyć, to drut kolczasty. Lecz któż może teraz myśleć o kwiatach na mogile drutem okopów wiązanej i czy zgłębia kto granicę życia=śmierci, jaka się waży w ręku młodego strzelca, gdy — nim na przód ruszy — kwiaty na groby sypie radośnie i krzyże na nich utwierdza?...

Nim naprzód ruszy, na nowe kraje, światy podboje...

Minęliśmy sieć ostatnich naszych odrutowań i łąką poszarpaną przez granaty ruszyliśmy ku rzece. Po obu jej stronach czerniły się już tęgie pale i koźły przyszłego mostu. W jasnym słońcu pod wiosennym rozpędem niebiosów wyglądali półnadzy saperzy, niby jakieś cudaczne różowo-niebieskie ważki ogromne, z których długimi blaskami ścieka srebro...

Przez brody wciąż przechodziła ludność, ciężko objuczona. Doprawdy, że w całym obrazie, w tej żołnierskiej robocie przy moście, w radości tych brnących przez rzekę biedaków, co wielką swą nędzę niosą w małym węzełku, w tej pogodzie i czystości powietrza przeogromnej — było coś biblijnego...

Aż nagle tuż przy moście, pierwsze swe kroki w rzece stawiającym — dopadł nas śpiew potężny... Właśnie słońce zachodziło — pierwsze bataliony Brygady zbliżały się, by przejść brodem. Żołnierze szli na tle bezmiernej czerwieni, niby czarna emalia, wlewająca się w krąg mosiężnej tarczy...

Szli w kurzu, w głosie pieśni, w promieniach

słońca, jak w blasku krwawej sławy... Echo śpiewu
zawładło lasem, płynąc zeń w sutych szarfach ku
rzece.

Że zdawać się mogło — ten marsz uparty, na
nowe kraje, światy, podboje, napełnił łuną czerwoną
cały widnokrąg... Ten śpiew radosny wydobył z rzeki
mgły ogromnego marzenia...

Że zdawać się mogło, spełnia się tu jedyne przy-
słowie młodości polskiej i potęgi z zachodu na wschód...

Drugiego dnia rano podeszły do przeprawy wcze-
snym rankiem pozostałe oddziały Brygady. Most nie
był jeszcze gotów. Nadciągające bataliony rozkładały
się w słońcu na trawie.

Pogoda była cudna, lekki wiatr brał radość sze-
regów na gładkie swe loty i kołysał. Wydano rozkaz,
by piechota przeszła po belkach niedokończonego
mostu. Powoli wielkie masy przewalać się jęły przez
srebrną lamę rzeki i niby pojedyncze niebieskie pa-
ciorki skupiać w prostokąt kolumny.

I przez łakę... Pod konnymi błyskawice podków,
nad piechotą srebrny rzut lufy, majonej czerwemchą...
Szliśmy niczem rozkwit jakowyś niespodziany na nowe
kraje, — światy...

Chyłkiem nawiedziła mnie prosta myśl, że wielu
z nas nie wróci, że śmierć z nami idzie też, że się
kołysze w kwiatach białych, wyciąga w lufach i błyska
w rozradowanem spojrzeniu...

Więc któż to oczy już Nidy nigdy więcej nie
ujrzą, więc kto z nas wróci do dom w krwawe po-

strojony laury, a kto dźwiga śmierć, — gdy wszy-
scy niosą młodość, broń i kwiaty?...

Hen, — przed nami wspinając się na strome skłony
Skowronnej, szedł Piłsudski...

Puste okopy Skowronnej otaczała woń złowroga.
Ziemia tu wszędzie strasznie spryskana żelazem, od-
łamy jego co krok sterczą z ziemi, potargane, wy-
strzępione, skręcone ogniem, rzekłbyś strzępy skrzy-
deł piekielnego ptaka, który niechże już nigdy tu nie
wraca...

W pustych okopach zostawiono mnóstwo naboi,
ładownic, starej odzieży, szmat i łachmanów.

Nędza wyziera zewsząd i srogie opuszczenie. Ale
widok się stąd rozściela na ziemię najdroższą!...

Wiatr przeciąga cicho w pustych kurytarzach, od-
darte drzwi kłapią przed ziemianką, zwitki gazy opa-
trunkowej niczem białe cieniutkie glizdy wiją się na
tym opuszczonym śmietniku śmierci...

W kącie kilka prawosławnych krzyży z ramieniem
na jedną przekrzywioną stronę.

Ale widok się stąd rozściela na ziemię w zielo-
nych falach dojrzewania rozkołysaną, na wsie utopione
w tęczowej pianie wszystkich kwiatów wiosny, na za-
dumaną straż przydrożnych wierzb i na drogi...

Te drogi wiodą nas tam, gdzie kwitną ametysty
oddalenia, tam gdzie się rozwinąć mamy w ognistą
falę walki...

P O D R O D Z E.

POCHÓD



Pochód.

Idziemy, idziemy — idziemy przez wielkie jeziora
młodego słońca na łąkach, przez niebieski szal cienia,
którym podpasane są świerkowe lasy, między wsiami
z których wita nas wonność i lekkość i ściele się
pod nogi białym puchem kwitnących drzew owo-
cowych.

Owocu, słodki owocu życia!

Idziemy, idziemy, mijając jakieś folwarki na Amen
zaśnięte w zapachu jaśminów i bzów, po całej ziemi,
jak okiem sięgnąć leją się złoto=białe, złoto=zielone,
złoto=cudne fale młodego zboża. A nad falą zboża
płynie fala naszego śpiewu, a w fali zboża i pieśni
jednym jedynym nurtem spływa — Ojczyzna...

Owocu, słodki owocu życia!

Z grząskich dróg podnosi się złoty, sypki kurz
i tak jest gorąco, — tak uroczyście, jakby to wszyst-
kich walecznych ojców sława i przeszłość na ów
proch złoty starta — towarzyszyła synom...

Idziemy, idziemy, mijając zórawie studzienne i płoty
plecione odwiecznym chwytem Piasta i wrota szerokie,
jak akt pojednania... Na karabinach czeremcha, na
czapkach jaśmin, w koszu srebrnej gardy różowy bez...
Idziemy, jak najświeższych, najprostszych kwiatów
ziemi powstanie...

Synu jedyny, owocu, słodki owocu życia!...

Znużenie się ku nam z fioletowych rowów przydrożnych uśmiecha ogromne, skwar mąci oczy i upija...

Nieznana przyszłość skrzy się i błyska na jasnych oddalach horyzontu... Mleko zimne w chropawych kubkach glinianych, — woda w brunatnym drzewie konwi, — młyn taśmy strumienia marszczący, — rozwarte objęcie twardych ramion wiatraka... Na niebie nieustające szczęście pogody, na ziemi nieustrudzony krok marszu...

Owocu, słodki owocu życia!

Przyszliśmy na odpoczynek.

Wspaniały jakiś dwór, — teatrum świetności i dumy, wielkie fasady szczerbem podarte i obrzucone starym, tłustym barokiem, — związuje na węzeł wielka, wyniosła brama. Nad nią herby dawnych panów, bezpańskie dziś... Nikt nie wie, kto zacz byli i w księgach o nich niema parafialnych, bo spłonęły i ludzie już nie wiedzą, drzewa zaś ręką magnatów sadzone — nie pamiętają.

Po bokach każdej fasady, niby pięść władna i zaborcza — tęga kopuła, jakby w irchowej rękawicy, kryta blachą, po której miękkim śladem szarości i zgryzoty snuje się śniedź.

Aryanie pono się tu kiedyś zgromadzali. Podobno Aryan jeszcze pamięta chmurny łuk arkad renesansowych, patrzący po drugiej stronie pałacu na gazon i dwa w starym bronzie szuwarów zamknięte stawy.

Bielony, zimny korytarz... W kącie czernieje

krzesło jak kleks. Po starych kamieniach dźwięczą ostrogi i skrzypi żwir...

Izby przepyszne, pańskie i prawie puste. W rogu, niby olbrzymia wieża szachowa, piec z gdańskich kafli. W buduarze stare fortepiano.

Na sali recepcyjnej we wielkim karle siedzi Brygadyr Piłsudski, rzekłbyś — dawny, surowy wielmoża, czy generał mohortowskich czasów. Przed nim za balaskami pałacu w złocie powietrza i w czarach wiosennej zieleni mija niebieska kolumna i śpiew:

Jeszcze Polska nie zginęła...

A potem: — Niech żyje Piłsudski!!!

W pałacu pełno oficerów, na kamieniach przedsiionka chrzest żwiru i trzask szabel, na balkonie stoją siwe mundury, w izbie jednej i drugiej i dziesiątej dźwięczy głos ostróg...

Zaś w starej alei lipowej...

Słodki owocu życia!...

W starej alei lipowej szum i tchnienie odwieczne i bliskie... Jakby ci, co sto lat temu odeszli i ostatni dźwięk rzucili w fortepiano i meldunek tu przyjęli ostatni, — te generały w łosiowych rajtuzach, te oficerzy w ciężkich epoletach — jakby tu gdzieś zostawili niemylny ślad, za którym idzie srogi i łaskawy Brygadyr, trzcinką trzepiący kurz z butów na wielkiem, jak łódź, krześle...

U wrót pałacu mijają wciąż oddziały, zaś u żelaznych krat bramy stoi... — Nie znamy cię z nazwiska a tak cię dobrze znamy z serca, — stoi siwa

pani w leciech podeszłych, czarno ubrana... Rezydentka, czy właścicielka i nie wiadomo już, czy właścicielka tu, czy tylko sługa... Przez łzy zaprasza na poczęstunek, pół płacze, pół śmieje się, błogosławi, ubolewa i zachęca...

Synu jedyny, owocu! Słodki owocu życia!

Miejscowość ta nazywa się Śladków duży.

Na drugi dzień maszerujemy dalej w nieustającej radości! Nie uciekaj nieprzyjacielu, worki ci popękają po drodze, owies gubisz, złotymi paciorkami owsa ślad swój znaczysz... Idziemy w kwiatach, skrzydłach, głosach, pieśniach, łagodni ludzie... Nie uciekaj nieprzyjacielu, bądźże cierpliwy, — na karabinach czeremcha...

Ha ha ha!!!

Pod wieczór przez tę wszystką nieopowiedzianą i niewyśpiewaną krasę przyszliśmy przed dworek malusi do agrestu i porzyczek przycupnięty. Krajem wyskubanego klombu zajechaliśmy przed cichą werandę.

We dworze małość i jakowaś pokora wielkiej cierpliwości i głębokiego wytrzymania...

Przyjęły nas dwie panie starsze wiekiem, skrzętne, wystraszone a mile ceremonialne. Jedna z nich — ta sama, co wczoraj u żelaznych balasków pałacu niebieską kolumnę piechoty błogosławiąca?...

Ta sama, co na ulicach odzyskanego Pińczowa nagle skrzyżowała ręce? Ta sama czarno ubrana, co gdzieś czeka pod Wilnem na małej stacyi kolei

w chmurny dzień? Ta sama, co zbiera jakąś składkę odwieczną pod gotyckiem sklepieniem w krakowskiej ziemi?...

Ta sama, co wczoraj i kilkadziesiąt lat temu, dama siwowłosa, pytała każdego z nas o nazwisko...

Dwór był, jak z powieści Orzeszkowej, czy Rodziewiczówny, skromny, mały dworek, który sobie przysiągł, że przetrwa...

Doczekał się nas i podjął nas najlepszym, kochanym swym stylem, — zacierki na mleku, chleb z masłem, jajka sadzone i rozmowa i szacunek...

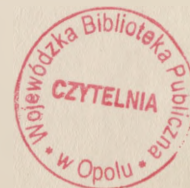
Myśmy całe morze słomy nawalili do saloniku, hafty i wszystkie robótkowe staranności na bok zgarnęli, bo przed oknami huczał grzmot przejazdu armat, słońce zachodziło pod niebem, jak aksamit miękkim i wicherzył się twardy okrzyk piechoty: Niech żyje Piłsudski!

Miejscowość ta nazywa się Sieczków.

Pogodo, pogodo, cicha nocy i pełny nasz dniu, dobre słońce i ziemio przychylna, idziemy, idziemy, idziemy w złotym kurzu, kwiatach białych i zieloności!...

Wszystko żelaziwo skrzypi, trzeszczy i tętni a krok piechoty bije równo jak puls tej ziemi, jak serce je żywe, jak głos sumienia tego kraju...

A o tym dworze pańskim, wymuskany i cacanym, jak się nazywał pamiętać nie warto, — gdzieśmy zajechali pełni wielkiej radości, — szarże pobiegły się golić i myć pod studnię, by się damom godnie przed-



stawić, a damy się pochowały, jak w kiepskim pa-
syansie, — i nie wyszły... Panowie, niby stare nadęte
fagasy za krzesłem oficerskiem stali, nie chcąc kom-
promitować swego imienia przy stole polskich woj-
skowych. O tym dworze wspominać nie warto, gdzie
siana, owsa, jadła było wbród, — a tylko serca nic...

Tylko co warto pamiętać, to że się tam pod par-
kanem żołnierze nasi i lud przed obrazem na śpiewy
majowe zebrali. Przed świętością niewinną płynęła
litania, chwał się obraz w gałęziach i światłach,
jakby zaraz w niebo miał ulecieć...

Dziewczęta klęczały obok tych, którym bitwa
i śmierć była bliską...

Więc, jakby w kąt tego parkanu schroniły się
i wpłynęły — wiara i siła, rycerstwo i miłość, siwe
mundury i białe szmateczki chustek, śpiew, światło
i zieleń wonna.

A stąd poniósł nas już krwawy wir bitwy.

Wiem, że pod złamaną tarczą księżycy w huku
armat i słodkim śpiewie słowików, wyszedł gdzieś na
mostek szwajcarski od połowy zniszczony i spalony.
Ogród chłodził się w blaskach a u poranionych stóp
mostu leżało dzikie zniszczenie i chwast...

Wiem, że gdzieś na podwórzu stanął, widząc jak
na starych, malowanych saniach, pogrążonych w szem-
rzącej fali słomy, bawią się dzieci. Niby jasnowłose
amory jadą saniami po słomie, jej zdźbła jak nici
złote wiążą — a nikt przecie tych nici nie zwiąże

i gdzież pojedzie ta bajka amorów pełna i słonecznego
wątku, saniami przez pola krwawe?...

Wiem, że siedł przez dwór pełen życia i wszyst-
kiego dostatku a ruina i pożar sądzone były wszyst-
kim jego ścianom. Bateria biła tuż za oknem, a pani
czarno ubrana wybierała łyżką masło na liść zielony
dla uciekających dzieci.

Wiem, że minął dwór inny, — noc zapadała,
a ogień i zgiełk bitwy rósł... Ludzie wszystkie rzeczy
z dworu wynieśli na ogród.

W pośrodku klombu stał jakby monument żałości,
czy grób. Z grobu tego lira kwitła czarna, w giętkie,
rozwarłe swe ramiona łapiąca gwiazdy krwawego
nieba nocy.

Zoczyłem, że to jest fortepian i lira jego pedałów.
Od jasnych okienek dworu — po klombie, z szele-
stem trawy szła siwa dama w powłóczystej odzieży,
cień swój rzucając na lirę i gwiazdy nią objęte.

Synu jedyny, owocu, słodki owocu życia!

BITWA POD KONARAMI.



BITWA POD KONARAMI



Po kilku dniach forsownego marszu od przejścia Nidy zatrzymała I brygadę pod Konarami właśnie rozwijająca się bitwa. Kolumny nasze stanęły za wzgórzem. Gęsto już świszczwały nad lasem Płaczkowic szrapnele, wyraźnie już było słyszeć strzelaninę karabinową na skrzydłach, gdy dogasać jęły ostatnie rytmy naszego marszu.

Ustawał śpiew, który szedł nad oddziałami przez tyle wsi, łąków i pól, rwało się echo trąbki, aż zamilkła zupełnie. Powoli spadały kłęby kurzu, osnuwające piechotę.

Ze wzgórza, pod którym zatrzymały się kolumny, widać było cały teren przyszłej bitwy. Młode, wiosenne słońce paliło z góry, kładąc siwo-niebieskie cienie między płową falą zbóż, toczących się po skłonach. Nawprost Konar, obrzeżony bystrym szlakiem piasku, widniał folwark Przepiórów, schowany pół na pół w gęstym kłębie zieleni starych drzew. Nikt jeszcze wówczas nie przypuszczał, że pod murami tego spokojnego folwarku przejdzie drugi pułk I brygady próbę wielkiego bohaterstwa i bezprzykładnej wytrzymałości.

Na prawo od Przepiórowa zielenił się las Płaczkowicki, który w tej chwili napełniały łomotem szrapnele,

a w którym walczyły naprzemian pułki armii, nasz V batalion, Rosyanie, honwedzi, zaś w danym momencie nawet baterie I brygady, straszliwie swym veto wstrzymujące nawał rosyjskiej piechoty.

Dalej za wąwozami biegły lesiste wzgórza i odkryta łysina pagórka numer 282 wedle mapy. Nikt też jeszcze nie przypuszczał, że wzgórze owo, leżące przed Kozinkiem, niby klucz zwycięstwa, wyrywać sobie będą walczące strony, płacąc zań sowiecie krwią. Że tam trzeci batalion I pułku jeszcze raz postawi się w najcięższej chwili, jak stara, niezawodna gwardya.

Z za wzgórz i chałup i wsi — z poza rozpędzonej fali sandomierskich pól widniały mury Włostowa.

Teren, który rozciągał się przed nami, pełen wzniesień i zagłębień, wąwozów i niedostrzeżonych przejść, obiecywał walkę trudną i zawiłą.

Brygadyer Piłsudski i szef sztabu Sosnkowski stali na wzgórzach konarskich, gdy opodał w pędzie zajęła artylerya austriacka, by wspomagać drugą, usadowioną niżej przed Wolą Konarską. Coraz z sypkiego gruntu wyrywały się w górę ciemne kłęby zrytej ziemi, coraz na czystym niebie ukazywały się białe puchy szrapneli.

Spokojną okolicę coraz silniej napełniać jąła walka. Powoli sączyć się jąły w różne strony cienkie linie telefoniczne, ludność miejscowa znikła, jakby pod ziemię się zapadła, cisza oprzędła chaty, a ogień huczał na polach.

Wedle otrzymanej dyspozycji pierwszy pułk pod

pułkownikiem Śmigłym miał atakować na północny wschód od Konar położoną wieś Grabinę, pułk drugi pod komendą majora Berbeckiego miał szturmować przez Swojków na Włostów.

Artylerya nasza, prowadzona przez kapitana Śniadowskiego, V-tą baterią zajmuje pozycje na skraju lasu, skąd miał też iść atak na Beradź i Grabinę. IV bateria zajmuje pozycje w Konarach.

Piechota drugiego pułku, niby siny, stalowy wąż, wciskać się poczęła między pola i wąwozy. Rozfalewany teren uprzystępniał posuwanie się naprzód szymbkami, zdecydowanymi ruchami ku tej stronie, z której trzeszczał ogień nieprzyjacielski.

Na skraju lasu Płaczkowic, na prawo od drogi rozwinął się batalion drugi II pułku pod kapitanem Ludwikiem, na lewo batalion pierwszy tegoż pułku pod kapitanem Sławem. Oba te bataliony miały wziąć front między pułkami armii, z których jeden stał na prawem skrzydle w okolicy Beradzia i Kozinka, drugi zaś wysunięty był naprzód, poza terenem zajmowanym przez nasz II pułk na skrzydle lewym.

Młodziutka nasza piechota miała więc za zadanie skrzydłami rozwijającego się w coraz większym ogniu frontu — wyczuć krańce tamtych pułków, związać się z nimi i uderzyć naprzód, prowadząc frontalny atak na umocnione pozycje nieprzyjaciela.

Batalion pierwszy II pułku, doszedłszy do wylotu drogi Płaczkowic, napadnięty silnym ogniem artylerji, rozwinął się szeroko, dwie kompanie rozciągając

w pierwszej linii, dwie luźno rozwinięte, trzymając w rezerwie. Tutaj już poniósł ów batalion silne straty i zatrzymał się na linii skrzyżowania dróg obok dwóch wiatraków przy Beradziu.

Tymczasem drugi batalion II pułku, otrzymawszy dyspozycję demonstrowania ataku na wieś Małżyn, doskonale prowadzonemi tyralierami posuwał się w tę stronę.

Podczas gdy II batalion, ponosząc znaczne straty od artylerii, zajął swe pozycje, I batalion skoncentrował się, jakgdyby na etapowym punkcie ataku, we wsi Garbowice.

Sytuacja na skrzydłach i logika coraz bardziej rozwijającego się ataku sprowadziła, jakgdyby sama przez się, podział pracy w postępowaniu obu batalionów.

Batalion pierwszy kierował rozwinięte swe łańcuchy na Swojków, a równocześnie rozmachem swym porrywał naprzód skrzydło — stojącego w lewo od batalionu — pułku armii. Batalion drugi zapadł się w ziemię i gdy tamten był mieczem ataku, ten został jego tarczą, trzymając się dzielnie pod wściekłym ogniem artylerii.

Cała przestrzeń od Przepiórowa, Małżyna aż za Swojków i Włostów objęta była ogniem.

Linie tyralierów pierwszego batalionu II pułku szły ustawicznie naprzód, a działo się to tak szybko, stanowczo i zręcznie, że nieprzyjaciół nie mógł uchwycić celu.

Pierwsza kompania I batalionu, wyszedłszy na oznaczoną pozycję, dostała się pod ogień szrapneli, karabinów maszynowych od strony wsi Słoptowa. Wówczas atak całej naszej linii rozpędził się z odległości 600 kroków. Skoczyły naprzód łańcuchy strzelców, słońce mając poza sobą. W rozpędzie tym, pełnym niebywałego temperamentu i straszliwej piękności, zdobył porucznik Tunguz ze swym plutonem oddział karabinów maszynowych (2 karabiny maszynowe, 38 ludzi obsługi).

Równocześnie trzecia kompania I batalionu poparła atak na całe wzgórze, osiągając skrzyżowanie dróg w Kaczycach. W tym samym kierunku zdążała również kompania czwarta.

Koło godziny szóstej po południu atak był w najlepszym rozwoju. Należało jeno czuwać, by rozpędzona w szturmie linia nie pocięła się i nie straciła swej spójności. Major Berbecki zarządził temu, łącząc prawe skrzydło pierwszego batalionu z lewym drugiego batalionu kompanią por. Rybarskiego.

Cały ten atak popierała znakomicie od strony Przepiórowa V-ta bateria naszej artylerii pod komendą por. Boruckiego. Robotę jej gwałtowną i stanowczą rozróżnić można było z łatwością po rzutkości i zajadlej energii z jaką ogień był prowadzony. W pewnym momencie tego ataku artyleria nasza znakomicie poparła batalion pierwszy, waląc celnymi salwami w gęste masy piechoty rosyjskiej, które wyroiły się kolumnami z zapalonego Małżyna, by zgnieść flankowym atakiem

prawe skrzydło szturmującego batalionu. Kolumny te wziął ogień naszej artylerii w obroty, krusząc je, kupy bezładne z nich czyniąc i pędząc w tył.

Ze względu na instancję sąsiadującego z pierwszym batalionem na lewo pułkownika armii,

ruszył I-szy batalion bagnetem.

Zmierzchało już, gdy rozpoczęto atak na Włostów.

Spokojny przed kilkoma godzinami krajobraz przemienił się był tymczasem w jakieś szaleństwo zniszczenia. W świetle zachodu słońca łany zboża czerwieniły się, jakgdyby każdy kłos był umaczany we krwi. Pogodną przestrzeń nieba wypełniał ryk armat wspomagających piechotę, zwłaszcza, że równocześnie dziesięć baterii przygotowywało I pułkowi swym ogniem atak na wieś Grabinę. Dokoła wznosiły się olbrzymie czarne słupy dymu płonących wsi i niby złote miecze tnące w jedno miejsce, splątane gęstwy jasnych płomieni.

Atak na Swojków miała prowadzić czwarta kompania I batalionu II pułku z plutonem drugim kompanii drugiej. Inne plutony tej kompanii z karabinami maszynowymi stanowiły prawe skrzydło, trzecia kompania lewe. Porucznik Aleksandrowicz - Kostek, komendant III-tej kompanii, napotkawszy na trakcie ataku głęboki rów pomiędzy folwarkiem i wsią zmienił front, otoczył wieś, zmusił Rosyan do odwrotu, zabierając 54 jeńców do niewoli. Tu, w pościgu za Rosyanami wystąpił po raz pierwszy oddział karabi-

nów maszynowych pod komendą porucznika Rokity, zasypując Moskali straszniemi „wstęgami“ swej broni.

Podczas gdy II pułk I brygady sprzęgnąwszy sobą sąsiadujące pułki armii otworzył im drogę do szosy (patrole I batalionu II pułku doszły aż do Włostowa), podczas gdy później w nocy wśród gradu kul ustalał linię i umacniał łączność poszczególnych jednostek bojowych, pułk pierwszy pod komendą podpułkownika Śmigłego szedł na północny wschód od Przepiórowa na Grabinę.

W tej części frontu znajdował się Brygadier Piłsudski i szef sztabu Sosnkowski. Punkt, który zajęła naczelna komenda brygady był punktem, o który w dalszym przebiegu tej bitwy najkrwawsze toczyły się walki. Wzgórza to i sąsiadujący z niem las kozinkowski stanowiły oś całej pozycji. Po obu stronach tego miejsca w ciągu następnych dni przeginały się krwawiące skrzydła bitwy, samo zaś ono stało się jednym wielkim grobem, nad którym krakały wrony i pryskał grad żelaza.

W momencie, w którym komendant główny znalazł się na tym odcinku, silny ogień karabinowy przeżywał cały las. Widać stąd było cały front zapalony walką, jak grążył się w krwawym rudym odmiecie. Noc szła. Powoli zlewały się w jedną masę łany zbóż, wzgórze i oddale. Pożary, niczem ogromne źródła jasnej, błyszczącej krwi, biły w niebo...

Pierwszy pułk wąwozami podstępował już pod Grabinę. Wkrótce już legła nasza piechota na zoo

kroków przed okopami nieprzyjaciela, zdecydowana do rzutu, któryby strzaskał opór piechoty rosyjskiej i zajął jej linię. O godz. 9^{1/2} wieczorem przyszedł rozkaz wstrzymania ataku. Wobec tego ku wielkiemu żalowi batalionów cofnięto się.

Tymczasem II pułk w rozpędzie swym doszedł patrolami I batalionu aż do Włostowa, to znaczy osiągnął szosę Opatów—Sandomierz, której w bitwie tego dnia bronili Rosyanie.

W nocy z 16-go na 17-go komenda pułku II musiała była ustalić linię. Kto był w szturmie, rozpoczętym za dnia, a prowadzonym dalej w nocy, ten wie, jak trudną jest rzeczą ustalenie łączności, zwłaszcza wśród coraz to silniejszego naporu nieprzyjaciela, któremu nadchodzą posiłki.

Z powodu bardzo zdecydowanej postawy naszego ataku — Rosyanie wydzielali te posiłki z wojsk, ogromną falą idących na inny front, czem, ma się rozumieć, musieli osłabiać nakazaną sobie koncentrację.

Major Berbecki, z pomocą adjutanta II pułku por. Toporczyka wykonał doskonale swe zadanie, ściągając i wyrównując front na linii od Kaczyc aż do wiatraku przed Garbowicami.

Linię tę trzymano aż do godz. 2 popołudniu dnia następnego, w którym to czasie ze względu na sytuację ogólną trzeba się było cofnąć. Odwrotu tego dokonano z niezwykłą zręcznością w piekielnym ogniu artylerii. Już palił się wiatrak, płonęły też Garbo-

wice. Ściśle rzecz biorąc, w tym strasliwym trzasku karabinów, wybuchających ekrazytówek i ustawicznym ogniu armatnim wszelka komenda faktyczna musiałaby stracić swą siłę, działał tu ogólny plan, kierunek i te właściwości bojowe, które stanowią o charakterze doskonałego żołnierza. Kompanie wycofywały się w szyku całkiem luźnym, w którym ustaje już wszelka formalistyka, a wchodzi w grę pewne poczucie się żołnierza w danym oddziale. Ogień był tak gęsty, że rozrzucone kompanie, plutony, sekcje i poszczególni ludzie szli jakby nieregularną siecią niebieskich cieni przez zboża wyłoczone słońcem, a nad którymi kotłowała się chmura ognia.

Ogień ten byłby może znacznie pogruchotał naszą piechotę, możeby rozerwał misterną sieć, którą wiązały najlepsze cnoty żołnierskie, gdyby nie nasza artyleria. Z niezmiernem ryzykiem, wypatrzwszy 7 armat połowych nieprzyjacielskich na otwartej pozycji, dopadła je ogniem i zatrzymała ich pościg ogniowy, właśnie wtedy, gdy rezerwy II pułku dochodziły już do Przepiórowa.

Tegoż dnia nowe sytuacje na innych odcinkach frontu przyczyniły się do dalszego rozdzielania sił I brygady, które z ręki Piłsudskiego szły na linię, obejmując te jej punkty, na których spodziewano się najtwardszego oporu.

Batalion V (dziś pierwszy III pułku piechoty pod majorem Trojanowskim) przeszedł do wsi Pokrzywianka, skąd miał atakować wzgórza sąsiednie.

Batalion VI odkomenderowano do sąsiedniej dywizji.

Batalion V pod komendą ś. p. kapitana Herwina został na razie odwołany, zaś w nocy z dnia 18 na 19 maja trwał w ustawicznym pogotowiu.

Następnego dnia, t. j. 19 maja ruszył ów batalion do boju, właśnie na nową zagrożoną pozycję, będącą kluczem całego frontu, a z której 16-go wychodził atak I pułku na Grabinę. Razem z V batalionem atakować miał batalion pułku armii. Wspomagane ogniem 8 baterii wyrzucić miały Rosyan ze wzgórza i zająć przestrzeń Płaczkowice — Kozinek. Atak ten wymagał bardzo silnego ubezpieczenia z prawej strony ze względu na wzgórze, z którego nie można było dopuścić żadnego flankowania.

Ówczesny komendant V batalionu kapitan Herwin w następujący sposób uszykował oddział swój do ataku: czwarta kompania atakuje wieś Kozinek, pierwsza i trzecia prą z centrum, kompania druga wykonuje ruch oskrzydłający z prawego naszego skrzydła na lewe nieprzyjaciela.

Atak rozpoczął się już w dużym ogniu rosyjskiej piechoty. Linie nasze poszły falami wzniesień, w skwarze i znoju, znacząc swą drogę rannymi aż do Kozinka.

Wobec tego, że batalion otrzymywał już ogień z flanki w prawy bok, część trzymała się w Kozinku wsi, nie mogąc ostatecznie utrzymać wysuniętej na przód pozycji. Koło południa części V batalionu

zaczęły się ostrożnie wycofywać w kierunku wzgórza, gdzie jeszcze stawały opór przeważającym siłom nieprzyjacielskim.

W boju tym po południu padł śmiertelnie ranny komendant batalionu kapitan Herwin.

Koło wieczora sytuacja na wzgórzach tych przed Kozinkiem wydawała się beznadziejną. V batalion, otrzymawszy odnośne rozkazy, cofał się już na linię rzeczki Pokrzywianki. Wówczas po raz drugi odznaczyła się artyleria nasza pod komendą kapitana Śniadowskiego, z otwartych pozycji z 1200 kroków od nieprzyjaciela bijąca na linię Płaczkowice — Kozinek najpierw szrapnelami, gdy tych zabrakło — granatami aż do ostatniego naboju.

Batalion V ciężko w tych bojach skrwawiony, odступując, zdołał jeszcze zabrać kilkudziesięciu Rosyan do niewoli.

Tego samego dnia przystąpił do akcji batalion III (dziś drugi I pułku pod podpułkownikiem Śmigłym), obsadziwszy pozycje na lewo od wzgórz kozinkowskich w Woli Konarskiej. Temu właśnie batalionowi przypadła w dniach następnych ciężka misja utrzymania najważniejszej pozycji.

Batalion III 20 maja zajął pozycje na północny zachód od wzgórza, należącego do najbardziej zagrożonych, trzema kompaniami. Kompanię, znajdującą się na lewym skrzydle przed wsią Kozinkiem, ściągnięto i obsadzono jej pozycję V batalionem.

Dnia 21 maja rozpoczyna wczesnym rankiem walkę

druga kompania V batalionu, która na podstawie mylnego meldunku atakuje jeszcze raz okopy przed Kozinkiem i samą wieś. Kompania ta, tracąc swego dowódcę por. Sarmata, zostaje odparta, a równocześnie ogień obejmuje walczące linie na całej ich długości.

Niepodobna oddać wrażenia, jakie sprawia to nieustające pytlowanie ognia karabinowego, przeraźliwe, jakby prucie się powietrza w salwach, to znów niby potworna czkawka — strzelanie paczkami. I znów normuje to wszystko równy trzask karabinów maszynowych.

Koło godz. 3 po południu przyszedł do podpułkownika Śmigłego meldunek o grupowaniu się nieprzyjaciela w kotlinie folwarku Beradz. Skierowano tam ogień naszej artylerii. W godzinę później ryczeć poczęła artyleria rosyjska, godząc w zachodni cypel pozycji naszej ciężkimi działami. Ogień ten około godziny 5^{1/2} popołudniu ucichł, jak przycicha zwykle przed atakiem. Rozpoczął się też on wkrótce z ogromną furją prowadzony przez Rosyan, a złamany został przez III batalion na najbliższych dystansach karabinowego ognia. Trzeci batalion trzymał się świetnie na swej pozycji, poza obrębem jednak batalionu oraz szeregów batalionu V-go lewe skrzydło zostało złamane.

Po zajęciu przez Rosyan Płaczkowic, wycofuje się piąty batalion, przedłużający lewe skrzydło batalionu trzeciego, który zostaje osamotniony.

Śmierć mu się sypie w oczy, z obu stron gniotą

szare linie kolumn rosyjskich, las trzeszczy, jęczy od wystrzałów. Lewe skrzydło ochrania sobie III batalion jednym plutonem, gdy oto pokazuje się, że i prawe zawisło w powietrzu. Wtedy dopiero rozkazał podpułkownik Śmigły stopniowy odwrót, wyciągając kompanie z linii. Dwie z nich, lewoskrzydłowe walczyły podczas odwrotu z nieprzyjacielem z odległości 30 kroków.

Następująca po tych walkach noc nie daje odpoczynku, a 22 maja w południe zaczyna wraz z pułkiem świeżo przybyłych honwedów atakować znów III batalion.

Kierunek główny szturm wypadł na las, którego część boczną zajmowali honwedzi.

Podpułkownik Śmigły wysłał zrazu jeden pluton w celu zabrania jeńca. Za nim poszła czwarta kompania, która rozpoczęła atak ku drodze w głębi parowu. Wysłany pluton wziął 84 jeńców, kompania czwarta 120.

Atak ten odbywał się oko w oko i pierś o pierś, jakby żywcem wyjęty z jakiegoś boju czasów napoleońskich. Grupy sinich mundurów wdzierały się na górę, wnikały w las, otaczając szarych, ziemistych żołnierzy. Strzelanina szła nierówno, wybuchami, w miarę gwałtowniejszego spotykania się ataku i obrony.

Szturm czwartej kompanii wyteżył się ku nieprzyjacielowi okopanemu na drodze do Beradzia. Doszła ona na odległość 20 kroków przed okopy i tu, mając

przed sobą warczące karabiny maszynowe, zaś z boku obejście kolumny rosyjskiej, zmuszoną była cofnąć się. Kompania trzecia doszła jeszcze dalej bo na 15 kroków przed okopy, rozmach jej jednak musiał się zwinąć wskutek przewagi ognia. Kompania druga rezerwowa doszła w tym czasie do plutonu oskrzydającego i utworzyła drugą linię, stale wzmacniającą tę pierwszą.

Atak na las kozinkowski nie dopiął celu, bo na prawo od III batalionu nie udało się honwedom, walczącym z niezmierną brawurą, uczynić oskrzydlenia od północy. W ataku tym III batalion, zda się pewną śmierć szturmujący, nie rozkruszył się, opanował najzupełniej teren tak podstępnych pełen niespodzianek, nie cofnął się przed siedmiu karabinami maszynowymi, obsiewającymi front atakujących i przyczynił się kapitalnie do tego, że wyczerpany nieprzyjaciół następnej nocy cofnął się.

23 maja po cofnięciu się Rosyan, zajęto północną część pozycji kozinkowskiej, na której III batalion pozostał, strzegąc surowo tego miejsca, które tyle kosztowało trudów i krwi.

Las kozinkowski doczekał w tej wiosnie nowego zasiewu. Zasiew ów nagle padł na ziemię i rychło wzeszedł i bieli się we dnie i błyszczy po nocach ramionami białych krzyżów brzoźowych...

23 maja bataliony nasze, prócz VI-go pod kapi-
tanem Fleszarek, sprzęgły się znów w jedną linię,
zajmując samodzielny odcinek frontu, mniej więcej



Pod Konarami.

od Kozinka aż do wsi Kujawy. Jądro walki przeniosło się z powrotem na Przepiórów i Kamieniec. Koło południa przyszedł rozkaz ataku, w którym II pułk i I batalion I pułku brały udział aż do 3 godziny rano dnia następnego.

Na lewym naszym skrzydle uderzyć miał pułk armii w stronę wsi Brzeziny, na prawym honwedzi szturmować mieli Garbowice i linie rosyjskie w prawo od Przepiórowa.

Na odprawie II pułku pod kierunkiem majora Berbeckiego zapadło co do szczegółowego ataku: Batalion II-gi drugiego pułku kierować się będzie i brać Przepiórów, batalion I-szy Kamieniec. Oddział karabinów maszynowych poprze operacye I-go batalionu II-go pułku.

Posuwając się mozolnie naprzód pod ogniem siedmiu karabinów maszynowych kompanie II batalionu okopały się o sto kroków od Przepiórowa. Kompania druga i trzecia skierowały się na okopy między Przepiórowem a Kamieńcem, batalion I szturmował Kamieniec i okopy między Kamieńcem a Brzeziną.

W gęstym ogniu nieprzyjacielskim, niosąc wielkie straty pułk II-gi trzymał się świetnie i stale parł naprzód, czekając aż skrzydła ataku rozprostują się do linii centrum i razem całym frontem uderzą.

Koło godziny 12-giej w nocy prawe skrzydło nacierającej linii zwijać poczęto, — honwedzi cofali się na Garbowice. Lewe skrzydło, zajęte przez pułki

armii) nie mogąc skruszyć napotkanego tu oporu wroga nie poszło również naprzód.

Przed murami Przepiórowa, z którego warczały ustawicznie karabiny maszynowe pozostało serce ataku — nasz II pułk.

Nie poinformowana o poruszeniach honwedów kompania por. Kruka Czarne, została otoczona przez Rosyan, tak, że dwie kompanie nasze zamiast szturmować z lewego skrzydła — musiały ruszyć na pomoc otoczonej kompanii.

W ręcznym boju, jaki się tu wywiązał okazali młodzi żołnierze I Brygady nieustraszone męstwo.

O godz. 2-giej w nocy przyszedł rozkaz zawieszenia ataku. Pułk II w zupełnym porządku cofnął się na dawne pozycje przed Konary.

W bitwie tej wzięto do niewoli kilkuset jeńców rosyjskich, z karabiny maszynowe, utrzymano świetnie powierzone sobie pozycje, wykonano kilka ataków na największy podziw zasługujących.

Zasługi! Zwycięstwa, powodzenia, straty!

Nad bolesnym szeregiem strat skrzydło się rozwija i bije we wrota Sławy Narodu rzutem wielkiej chwały. W ogniu, w odmęcie pożarów, w rozgłosnym huku palby piechotnej, w trzasku strzelanych gałęzi, w szeleście zbóż, w grudzie rozpryskującej się ziemi zginęło wielu mężów, wiele cnót zagasło, wiele wdzięku podziało się gdzieś na zawsze w nicości...

Niejeden się snop rozleciał, spłonął niejeden dom, serce pękło niejeden a oczy patrzeć przestały... Jeny,

że to czas szczęśliwy wojenny, — ludzie mijają, szereg zostaje, życie się kończy a prawda jego rośnie...

Konary sławne będą w dziejach I Brygady. Tu w młodem ciele ziemi kochanej oddanem, głębokie utkwiły korzenie... Na Konarach Sława kwitnie we krwi, póki czas nie nastanie, że z Konarów pędem bujnych gałęzi tryśnie życie i pokój jego szczęśliwy.

NABOŻEŃSTWO PO BITWIE.





Trudno było zaraz po bitwie urządzić mszę polową, bo na to musimy z taborów wyciągnąć ornaty księdza Kosmy i przybory i na to trzeba we wsi ołtarz wystawić. Ale kto chciał, ten się wyprosił w niedzielę i szedł w słońcu w spiekocie przez te same pola, na których kilka dni temu śmierć gonił — do kościoła.

Trzeba widzieć, jak taki żołnierz idzie miedzą, żołnierz nieduży, zboże mu sięga po pas... Jak idzie w swej maciejówce czy w ułańskim kasku przez ciszę pól... Tyle zadumy, tyle spokoju i słodczy zdaje się otaczać jego postać, tyle starej wiary i głębokich ukoji zdaje się sunąć wokół niego, tyle trudu i tyle historyi idzie z nim — i w nim przez pola niedzielą słońca rozjaśnione, — iż myślisz: on idzie i jeszcze jeden, idą dwaj — on żywy i pradziad jego gdzieś tu kiedyś poległy... On żywy i fioletowym cieniem przez zboża sunący pradziad zaziemski...

Opowiadali nam, że jest tu jedna wieś, która się w 1863 roku powstaniu oparła, — zdradziła, a potem mór ją wytłukł...

Przed kościołem już pusto, ludzie już weszli, słysząc poważne tchnienie organów, jak falą ciężką przewala się z tonu na ton.

Nawy w reperacyi, rusztowania biegną aż pod powałę, pachnie wapnem i kadzidłem. W nawach pełno narodu wsiowego a przesiewa go dziś, jak zboże bławat i mak, — siwy mundur i rabat czerwony.

Wsparci na szabli, stoją ułani z ramieniem w ostry kąt na kasku przegiętym, stoją piechury, wytarta, niezłamana brać. Nabożeństwo się odprawia a ci, co tu chwastem wspaniałym wśród płowych chustek i szarych sukman stoją, za siebie tu są i za tych, którzy się na polach we wieczny sen ułożyli...

Kiedy moment przyszedł, z pod stropu z rusztowania gruchnęła pieśń świątobliwa i straszliwa!!

»Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...«

— Opowiadali nam, że jest tu jedna wieś, która się powstaniu oparła, zdradziła, a potem mór ją wytłukł...

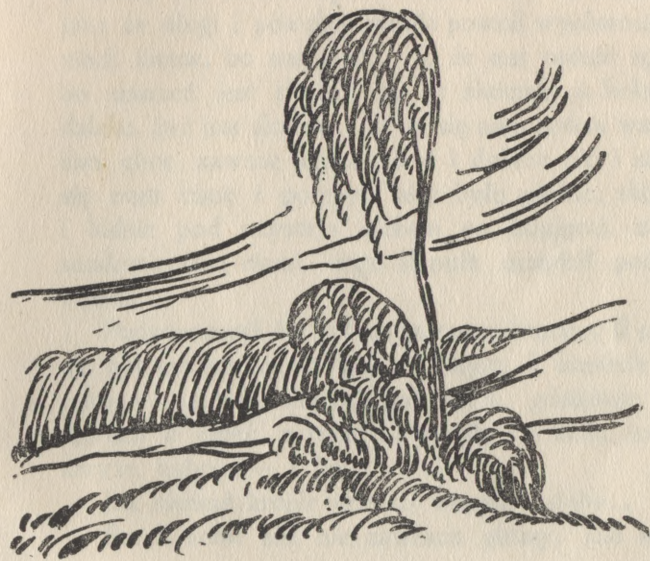
Tam, na deskach rusztowania, wysoko, stał chór, zwarte legionistów Koło, zaś z tego pierścienia rycerskiego rwał głos potężny, niby z niebieskiej obręczy źródło jasności...

Zaś chłopaczkowi wiejskiemu, co stał nisko w nawie zdawać się mogło, że pod strop kościoła przybieżeli nowi aniołowie, strojni i zbrojni, na szablach się jakichś archanielskich wsparli i grzmią głosem niezwykłym...



Patrol ułańska.

PODWIECZOREK PO BITWIE
POD KONARAMI.





Zaś po bitwie zaraz wkopaliśmy się w ziemię.
Wyszukało się linię z najlepszym obstrzałem i wojennym smakiem zaprawiło się okolicę przed nami. Tu będą miny, tam będą kozły hiszpańskie, a tam w okopie schowa się krwiożerczy pysk karabinu maszynowego...

A żeśmy się już pobili do syta i krwią opłynęli, a żeśmy już śmierci sporo oddali, który to rachunek, jako że długi i powolny ziemia powoli wyrównuje, — niech bierze, bo nas stać!... A że nas radość sparta, bo umrzeć jest słodko, ale ze śmiercią u boku nie daleko, żyć jest słodziej... A że się nam potem wszystkim chce zawsze mocno jeść i dobrze pić i salonu się nam chce i pompy i aby było głośno, składnie i ładnie pod czystym niebem na falującej, ciepłej sandomierskiej ziemi, więc II pułk urządził podwieczorek.

Podwieczorek ów był inauguracją kantyny II pułku, ale był też wspólną ucztą i stypą i biesiadą weselną — na tych samych miejscach, gdzieśmy parę dni szli w ogień, a teraz są mogiły co krok, na nich krzyże, naboje — i fiołki...

Jak ciemne krople uroczej wonnej żałoby...

Bo tu sobie nikt nie zawraca głowy, jest uczta,

uroczystość, a skoro nasza wojskowa, to bez miary! Cóżby się nie zmieściło w naszej uroczystości, chciałbym wiedzieć?!

Więc było tak prawie miło, jak może wtedy u księcia Józefa pod Lipkami, tylko że pań nie było... Ale co nam po paniach! I było prawie tak, jak za Kazimierza Wielkiego, bo się nasze wielkie stoły rozstawiły pod gołym niebem najczystsze na świeżej fali traw. Jak za Kazimierza Wielkiego, bośmy mieli czyste sumienie do tego podwieczorku. A komendant na pierwszym miejscu między nami, tak się sobie rozsiadł, jak u Pana Boga za piecem, wygodnie i dostojnie...

Jak za Kazimierza Wielkiego, bo nam tak wokół stołów i jedy naszej pachniało polem i miodami łąki, bo nam tak słońce sprawiedliwie w twarz świeciło.

Muzykę postawiliśmy zaraz obok chałupy. Potem balaski, potem krzaki i nasze stoły — jedno podziwienie pod wielką lipą, na której papier się białł przybity z napisem:

»Cześć Ci kochany wodzu!«

Na stołach były kwiaty, całe bukiety, łąpą żołnierza wiązane, wspaniałe wiechcie! Było też wino takie i siakie, herbata, rozmaite suchości, jakoto orzechy, migdały, albertki, biszkopty — wielkie jak wiosła.

Za stołem tuż, płynie zboże, wspina się na góry, jakichś 800 kroków i halt! To już linia...

Ach linia i nieprzyjaciół — nie mam większego zmartwienia, jak nieprzyjaciół!

Więc siedzimy i jemy. Brygadyer na pierwszym miejscu, ojciec wszystkiej naszej roboty, dalej szef sztabu, dalej panowie podpułkownicy, różne świeże majory, kapitanowie, porucznicy... Jest Tunguz, co wziął karabiny maszynowe, jest Rokita, jest Toporczyk.

Co ci z nazwisk i osobistości i osób — czy to paciorki są, żebym je nizał jak na sznurek?!

My jesteśmy! Wypisaliśmy sobie i do lipy przybili:

Cześć Ci kochany wodzu...

Kto? — My!...

Co nam po paniach i po wszystkim, chodźcie zobaczyć jak tu siedzimy kręgiem, słońce nas grzeje, trawa kołysze — cicho, bo będzie mowa...

Major Berbecki peroruje. Składnie to powiedział, a krócej, niż na bankietach w stolicy... Jednym słowem, że do Brygadyera gadał — bardzo składnie...

Wszyscyśmy dawno wiedzieli co powie, bo my wszyscy to samo... Ale dobrze, że powiedział — mowy muszą być...

Siedzimy za białym stołem w morzach złotości i wiosennej krasy, nad nami łaskawe przegony błękitu, za rowem niedaleko wróg, z boku wiatrak trzeszczy, czyją śmierć miele?... Będziemy słońce pili, jak miód, w ten nasz żołnierski podwieczorek, jest wierny napis na lipie...

Słuchaj adjutant, każ im grać walca, mój drogi!

Graj walca, siedzi nas tu kilkudziesięciu, rozumiesz głupi, to jest w Polsce, my jesteśmy Polską,

to nie jest żadna wielka chmurna rzecz, tylko rzecz,
o którą się bijesz!

Komendant mówi:

Zcichliśmy wszyscy, Piłsudski stał już za stołem
w szarym swym mundurze z iskrami słońca w głę-
bokich, niebieskich oczach, z kielichem czerwonego
wina w ręku, jakby z kielichem pysznej krwi... Mówi,
że gdyby pułki swoje nazywał, toby II pułk I bry-
gady nazwał pułkiem warszawskim, jako, że bataliony
w skład jego wchodzące walczyły pod tem miastem.

Warszawo, Warszawo, czy słyszysz i wiesz, że
idziemy ku Tobie przez tyle śmierci w takim trudzie
i radości?!...

Czerwień jęła powoli przesycać promienie słońca.

Oficerowie śpiewają chórem:

Oto dziś dzień czci i chwały...

Ręce drżą lekko, jak światło, pręży się mundur
na piersi, a w piersi tętni wielka miłość Ojczyzny, —
jak dzwon...

GRÓB HERWINA.



Grób ś. p. kap. Herwina.

Idzie się tu przez wieś, za sobą ostawiwszy roz-
falowane, młode pola, schodzi się wiejską drożyną aż
do parowu i zboczem w górę ku ścianie wielkich szu-
miących dębów. Po jednej stronie tej żywej, głośnej
ściany spada brzeg, porośnięty wszelakim kwiatem
zblędzonym. Po drugiej płyną łany młode ku innej
wsi, ku rozrzuconym wśród pól drzewom i jeszcze
dalej ku temu smętnemu czarowi, co ta się za nie-
dojrzanym brzegiem horyzontu.

Na tle tej ściany dębów, w szumie, w tchnieniu
drzew tęgich i czcigodnych, jakby w oddechu bez-
miernego spokoju i powagi wznosi się biały krzyż
z zawieszonym przez ramiona wieńcem uwiędłego bzu.

Tyle bezbronnego żalu jest w tych ginących cicho
bzu gałęziach i tyle czułości, — bo okwitnąć trzeba,
minąć, przeminąć, a nikt przecie, jako żywy kwiat za
grób nie dojdzie...

Pod krzyżem mogiła z darniny, około niej brzozowe
balaski, opodal także ławeczka z biało-srebrnych pni,
izby tu można było przyjść, sięść i głowę na rękę
oparłszy i oczy utkwivszy w niebieskiej błękitu pa-
mięci — myśleć, dumać...

Śnić się tu może jakaś urna przezczysta, z której

płyną zdroje zasługi świetnej i płyną i toczą się w nieskończoność...

Tak więc w tem ogrodzeniu białem, jak w białej kołysce, leży mogiła, na niej kilka naboi i jeszcze kwiaty powiędłe. W dół na zbocze pada błam świeżo wzruszonej gliny. Naprzeciw krzyża i potężnej ściany dębów występuje biało=pienna brzoźka, jedna, jedyna wśród tych drzew, lekko wiotkimi warkoczami ciężkie liście dębów głaszcząca.

„Tu leży Kazimierz Herwin (Piątek), kapitan Legionów Polskich, Brygady Piłsudskiego. Zginął pod Kozinkiem dnia 19 maja 1915” — odczytać można na małej drewnianej tabliczce, przybitej u stóp krzyża.

Kazimierz Piątek=Herwin, syn malarza, urodził się w r. 1888 w Krakowie, tam ukończył gimnazjum i studiował filozofię. W roku 1911 wstąpił do Związku Strzeleckiego, w którym pracował bardzo gorliwie. W 1913 został komendantem szkoły oficerskiej, z końcem tego roku komendantem Okręgu Podgórskiego.

Po wypowiedzeniu wojny Rosyi, wyszedł z pierwszym oddziałem, jako komendant plutonu. W Miechowie dostał kompanię, a we wrześniu batalion VI. Pod Krzywopłotami batalion VI. objął kapitan Flešzar. W grudniu otrzymał Herwin batalion I=szy pierwszego pułku. Z batalionem tym walczył pod Łowczówkiem gdzie był ranny 23/XII.

31 stycznia 1915 r., jeszcze nie wyleczony, powrócił do Brygady, w kilkanaście dni później otrzymał komendę nad batalionem V. (dziś pierwszym trzeciego pułku).

Spokojny ten człowiek, nieustraszony komendant, zginął podczas szturmów swego batalionu w lesie pod Kozinkiem, wśród burzy i piekielnego huku kanonady, w potężnym zgiełku nieba i ziemi, rażony kulą w głowę.

Nieprzytomnego znieśli żołnierze do wozu. Potem w męczarni i w nieprzytomności pograżone ciało powieźli do wsi, wolno w mroku, drogą zawałoną przez strudzone okrutnym bojem oddziały...

Na czarnem bezgwiezdnym niebie ważył się wciąż świst armatnich wystrzałów.

Mieliśmy wszyscy nadzieję, że Herwin wyjdzie z tego ciosu, że natura jego tak tęga, zdrowa, sposób życia tak ogromnie prosty i wstrzemięźliwy zwyciężą. Tymczasem ciężko ranny zmagął się ze śmiercią aż go przemogła. Dnia 20/V zgasł.

Odbył się pogrzeb, najlepszy, na jaki nas wówczas było stać.

Otwartą trumnę złożono na łące.. Lud wiejski osypał ją kwiatami.

Tu, ostatni raz, — dziwnie w zacisku śmierci dumna i wzniosła twarz Herwina patrzyła w niebo...

Dzień był blady, powietrze huczało wciąż od wystrzałów.

Wartę honorową trzymali przy trumnie ułani.

Tu ostatni raz widziała twarz Herwina blask legionowej broni i jej dźwięk przezacny, tu brzmiał wokoło niego po raz ostatni...

Oficerowie wielko przybili, przepłynęła nad trumną pieśń — „Nie damy ziemi skąd nasz ród”, — „Jeszcze

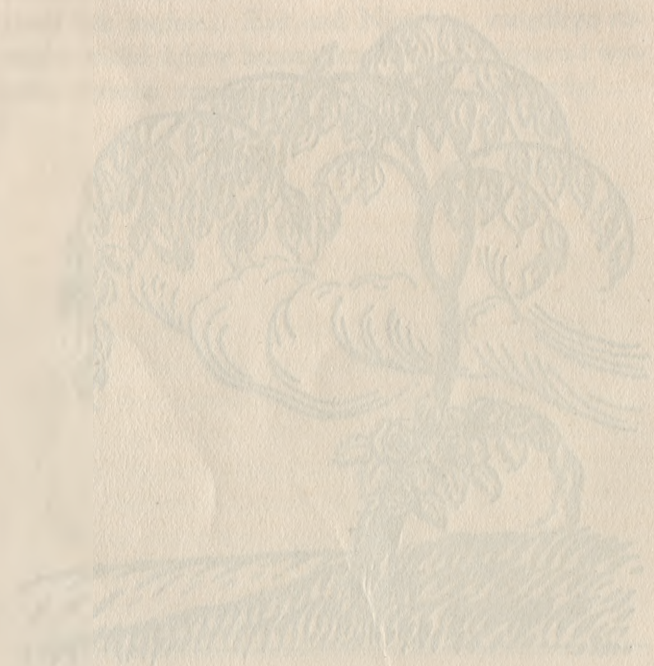
Polska nie zginęła" — odegrali po trzykroć muzykanci. W pogłosie bojów z przed stu lat, w żalu i w harcie żołnierskich spojrzeń resztki tego, co duchem było i mocną dźwignią najdzielniejszych — zeszyły w ziemię...

Na tle rozłożystej ściany dębów, w oddechu ich szumiącym, rzekłbyś tchnieniem łaskawej piersi kołysany usypia Herwin na wieki, — zaś przed Nim pola biegną i złocą się chałupy i ciągnie się w dal to wszystko, — polska ziemia i ród — to wszystko, czego bronił tak mężnie... Zaż nad Nim bzu uwiędłego różańce, wśród dębów brzoza warkoczami wiejąca i wysoko, wysoko czułe pytania ślicznego głosu wilgi...

ŚMIERĆ PORUCZNIKA FRANCISZKA GRUDZIŃSKIEGO.



Franciszek Grudziński



Franciszek Grudziński (Pększyc) urodził się w r. 1890, do szkół uczęszczał w Krakowie, studia uniwersyteckie odbywał w Krakowie i Lwowie (Politechnika). W r. 1905 należał już do skautu, gdzie pracował razem z Małkowskim. Brał bardzo żywy udział w formowaniu się i rozwoju Drużyn Strzeleckich we Lwowie. Podczas wielkiej manifestacji przeciw rosyjskiemu konsulowi uratował z tumultu ulicznego sztandar, zerwawszy go z drzewca.

Pracował później w Krakowie. W roku 1913 prowadził dwumiesięczny kurs zimowy w Rabce. Była w tej pracy ogromnie silna rzeczywistość, było też jednak i wielkie marzenie: Rycerzy śpiących w Tatrach pobudzić... Pracę wojskową rozumiał Grudziński, jak wyzwolenie z wszystkiego, co w Polsce jest niewolą...

W r. 1913 został komendantem kompanii i zbrojmistrzem Drużyn Strzeleckich w Krakowie. W czasie wyruszenia pierwszych oddziałów polskich do Królestwa, walczył w armii austriackiej przeciw Czaromogórze. Połączywszy się z szeregami I brygady, odbył cały szereg bitew. Był ranny pod Laskami.

— Wiedziałem, że będę ranny i że nie zginę —

mówił później. — Jak długo będę Sprawie potrzebny, nie mogę zginąć...

W bitwie pod Łowczówkiem znakomicie prowadził IV batalion. Świetnie sprawował plac = komendę w Kętach. Żołnierze cenili i kochali młodego porucznika.

Później dowodził czwartą kompanią VI batalionu. Ranny w ostatniej bitwie i odwieziony do szpitala polowego, uciekł stamtąd, by jaknajprędzej wrócić do oddziału. Powrót do szeregów Brygady I przyjęła jego kompania w nocy, leżąca w okopach, tak potężnym hurra, że rakiety poczęto świecić wzdłuż całego frontu, a zaniepokojeni Rosyanie wysłali patrol, który się dostał do niewoli.

Dnia 3 czerwca koło godziny 11 w południe z okopów przed wsią Żerniki wyruszył Grudziński z dwoma żołnierzami na wywiad. Dzieliła go od Rosyan fala przestrzeń niewielkich wzgórz, okrytych żytem. Za temi wzgórzami i za zbożem ciągnie się wieś. A za rzędem chałup, za pocziwym grzbietem kosmatych poszyć ze słomy, strzelają z bujnej zieleni drzew szczyty wież kościelnych.

Linie okopów kręcą się po obu stronach wsi, która jest tak jakoś przysłowiowo polska, piękna, w ciszy i cieniu między dwoma śmiertelnymi liniami śniąca... Bezradna w uroku wiosny, między dwoma zmijami na pożar skazana... — Marszczą się nad nią w upale sino-niebieskie wstęgi powietrza, a fioletowe kontury wież kościelnych obrzeża złota lama jasności.



Patrol.

Czar w tem jest całe i wieki przeszłości i pogoda jakaś i woń dojrzwania i rozpacz słodka...

Tędy, wśród zboża kwitnącego, — bo właśnie kwitło żyto, — szedł Grudziński z dwoma żołnierzami jakby wyzywając śmierci... Niedaleko od pozycji rosyjskich przed Modliborzycami, zwiąawszy się z niemi strzelaniną przed frontem tej wsi prostym i kochanym, jak stara pieśń ludowa, — padł porucznik Grudziński na wonną falę kwitnącego żyta, rażony kulą w głowę. Już w czarne słońce śmierci patrząc, we krwi i salwach wystrzałów, już ślepy, — wychylił Grudziński swe zdrowie do dna, strzelając sobie w serce...

By przyjść Grudzińskiemu z pomocą, komendant Fleszar rozpoczął bitwę. Wziął pod ogień ciężkich dział wieś, szturm ogniowy zarządzając na obu flankach. Dopiero pod osłoną tej burzy ognistej, szalejącej pod czystym blaskiem słońca w samo południe, udało się sanitaryuszom zabrać zwłoki porucznika.

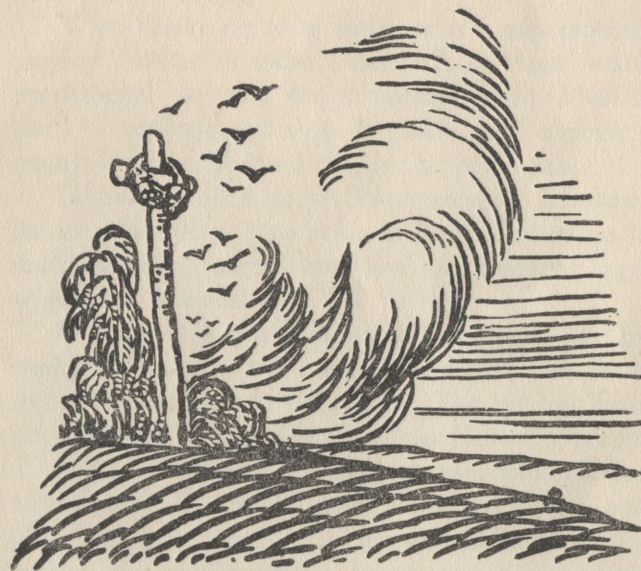
Drugiego dnia odbył się pogrzeb tuż za pozycją naszą w Baćkowicach. Trumnę wystawiono we wiejskim kościele. Okryto ją sztandarem narodowym, a przez skrzydła Orła białego biegła czarna wstążka żałoby. Zapalono świece. Jakby gromada złotych motyli obsiadła trumnę. Oficerowie, — żołnierze, — uroczyste śpiewy... Ramię w ramię — braterski spłot kolegów, którzy trumnę ponieśli na cmentarz... Ksiądz kapelan Żytkiewicz przemówił, zadrżała we łzach

warta honorowa, na ostatnią baczność, twarze kry-
jąca w dłoniach...

Gdyśmy wyszli z cmentarza ku wzgórzu i po-
cyom w głębinach wieczora, pod spokojnym ogro-
mem fioletowego nieba płonęły stogi zboża, trafione
jakimś wystrzałem.

Zdało się więc: z żałoby wielkiej niszczeje i pali
się zbiór ziemi... Zboże czerwonym kielichem pło-
mieni ku niebu się wychyla... Zaś w kruży onej,
tak zwiewnej i gorącej, oddaje ziemia duszę bohatera
czułym i nieskończonym łaskom nocy...

*JAKÓB DAROCHA, MIECZ. KWIE-
CIŃSKI, JULIUSZ BAGNIEWSKI.*



Jakób Darocha podporucznik I. Brygady zginął 23 maja w Żernikach, podczas szturmów VI. batalionu, gdy szedł naprzód przed kompanią dla zbadania pozycji. Tak ginie większość naszych oficerów. Jest to już po-
niekąd wspaniałą banalnością... dla zbadania pozycji. Dla wynalezienia miejsca, w którymby jak najmniej strat poniósł szereg...

Więc działo się to w maju, wśród najpiękniejszej pogody i rozkwitu nieba i ziemi. Z miesiąca marzeń przeistoczył się nam maj w miesiąc walki. Musi się stać — ocośmy walczyli i ginęli, jeśli zapomnieć mamy krew na zbożu i mogiłę w pośród łąki...

Darocha urodził się w Sokołowie koło Rzeszowa, lat 26 skończyłby tego roku w lipcu. Śmierć go jednak spotkała i zaczął inne lata, nieskończone nigdy w pamięci Narodu.

Do gimnazjum uczęszczał w Rzeszowie, na Uniwersytet (prawo) we Lwowie. Od początku wojny służył w VI. batalionie I. Brygady. Założył był Związek strzelecki w Sokołowie, tamże Koło i Czytelnię T. S. L. Bił się pod Laskami, Krzywopłotami, Łowczówkiem. Prowadził dalej pracę oświatową podczas wojny w szeregu... Urządził tu rodzaj lotnej szkoły dla analfabetów a najpilniejszym wyznaczał

nagrody. Był komendantem swego plutonu i jego nauczycielem.

Tak, jakby czasem to, co cały naród zaniedbał, wcielało się w jedną młodą pierś, w jedno gorące serce, — póki tego serca stanie i póki pierś, nie pęknie.

Mieczysław Kwieciński (Oset) urodził się w 1893 w Kieleckiem. Tutaj skończył handlową szkołę. W r. 1911 wstąpił w Leodyum do Związku Walki Czynnej. Należał — jako filareta — do tego grona młodzieży w Belgii, które odnowiło na emigracji dawne polskie tradycje. Jako porucznik dowodzący 4-ą kompanią II. batalionu, II pułku brygady Piłsudskiego, zginął pod Przepiórowem 23 maja, w dzień Zielonych Świąt po południu.

Właśnie, gdy szukał dogodniejszej pozycji dla swej kompanii... kula przeszła mu piersi, a wieczorem tego samego dnia zmarł w szpitalu polowym. Historia naszych bojów zapamięta dobrze kompanijnego — Oseta. Lecz jak się ma stać, by wdzięk tego młodzieńca, jego łagodność i tak miłe obejście, ginęły bezpowrotnie?...

Porucznik Oset, w czasie ataku II. pułku I. Brygady na Małżyn, Beradz i Swojków, bardzo zręcznie prowadził swą kompanię. Udało mu się tak szczęśliwie przesunąć jej linie, że unikały stale morderczego ognia artylerii. Widzieli go wówczas żołnierze, jak stał pod drzewem i wymachiwał białym prętem, obłupanym z kory.

Jest we zwyczaju, że się mali chłopcy bawią w wojnę, w różne dziwne przygody, a kijków takich, świeżym sokiem ociekających, używają za miecz, berło, czy za znak dowództwa.

Niechże się stanie, by za lat dziesięć, trzydzieści wiedzieli mali chłopcy, że porucznik Oset pręciną taką świetnie do ataku prowadził swą kompanię. Gdy na wiosnę łożę młodzieńką z kory obedrą, niechże się stanie, by wiedzieli, że tak samo czyniły kiedyś ręce idącego w śmiertelny bój porucznika.

Niechże się stanie, by się im, jak przykład nawinął wcześniej, już w chłopięcych zabawach, marzeniach o tej dawnej porze: — gdy wiklina sokiem wiosny opływała, a młody porucznik broczył krwią...

Juliusz Bagniewski, podporucznik VI. batalionu. I. Brygady...

Kuryer odjeżdża, trzeba spieszyć, by zdążyć oddać list... Zналиśmy Go wszyscy tak dobrze...

Ale nie zdążę się dowiedzieć tych paru formalnych dat, gdzie się urodził, tych paru od — do... Na szczęście nie mieści się Bagniewski w datach i nicby one o nim nie powiedziały.

Kuryer odjeżdża, trzeba spieszyć i tym sposobem skraca mi się ten niemożliwie bolesny obowiązek pośmiertnego wspomnienia. Bagniewski zginął w maju pod Wszachowem.

Był z rodu tych polskich tułaczów, żyjących »jak ptak na gałęzi«, pędzony buntu polskiego kolejną z miejsca na miejsce. Chyba znał cały świat, — wszę-

dzie próbował szczęścia i chleba... Na wielu gospo-
darczych sprawach życia Narodu znał się tak dobrze
i głęboko, że niepodobna sobie wyobrazić, by miał
w nich już nie wziąć udziału. Wiele serc tak miał
blizkich sobie i oddanych, że niepodobna tej wielkiej
odległości zrozumieć, jaka go od nich przedzieliła.

Niema już między nami tego cierpliwego podró-
żnika...

Zaś ja wciąż widzę Bagniewskiego — jak spo-
czywa na przydrożnym kamieniu, — opodał maszeruje
kolumna piechoty, szara od kurzu i pyłu.

W dali wszystkimi kwiatami wdzięczą się łąki...

Widzę Bagniewskiego, jak zmęczony, siedzi w roz-
chełtanym mundurze na kamieniu, zdjął czapkę, ociera
zgrzaną twarz — ...Już za nami nie pójdzie, nie wy-
dąży, jeno złotem skrzydłem kurzawy marszu naszego
przykryty czeka, póki wieść do niego nie wróci, że
naprzód idziemy, zwyciężając...



W pochodzie.

*ROZKAZ DZIENNY
BRYGADYERA PIŁSUDSKIEGO.*

Żołnierze!

Kilkudniowe nasze boje pod Konarami były dla nas dotkliwe nie tylko ze względu na mnogość strat kolejowych, lecz i dlatego, że aniśmy walczyli złączeni, ramię przy ramieniu, ani też wyniki boju nie mogły cieszyć serca żołnierskiego.

Od samego początku bojów, będąc w rezerwie dywizyjnej ulegliśmy częstemu losowi rezerw — zostaliśmy rozproszeni na szerokiej przestrzeni, idąc na podparcie poszczególnych części frontu.

Najcięższe i najprzykrzejsze zadanie spadło na bataliony III i V, które stanęły na najbardziej zagrożonym terenie. Z dumą podnieść muszę zachowanie się wypróbowanego III batalionu, który w ciężkim boju i chaosie przez czas pewien był jedyną zwartą grupą na szerokim froncie. Trzeci batalion w najcięższych moralnie warunkach zachował się po bohatersku, znacząc obficie każdy krok swój krwią własną i wroga. Rozkazem niniejszym wyrażam wszystkim oficerom i żołnierzom tego batalionu głęboką wdzięczność w imieniu całego oddziału za dowód, że w najcięższych warunkach żołnierz polski, jeśli nie może wygrać boju, to honoru swego bronić potrafi.

W szczęśliwszych znacznie warunkach walczył z pułk, nie rozerwany przez losy na części. I batalion tego pułku (dawny IV), biorąc udział w ataku na szosę Opatowską pierwszy doszedł do nieprzyjacielskich okopów, biorąc karabiny maszynowe i liczne jeńców; II batalion dał dowód niespożytej siły moralnej przy nieudanym ataku na Przepiórów, stojąc przez kilkanaście godzin w nadzwyczajnie silnym i bliskim ogniu nieprzyjacielskim i cofnąwszy się jedynie po otrzymaniu na to rozkazu.

Pierwszy batalion 1-go pułku przy ataku na Przepiórów wytrwał wraz z II batalionem aż do odwołania, następnie zaś w brawurowym ataku na Kamieniec zdobył kilkaset jeńców.

Wreszcie VI batalion dotąd oderwany od macierzystego pnia, służbą swoją zyskał powszechne pochwały swych przełożonych.

Boje, któreśmy zakończyli, by przejść na razie do względnego spokoju, zostawić muszą głęboki ślad w naszych umysłach. Były one dla nas doskonałą szkołą, właśnie dlatego, że wymagały one bardziej niż inne, by nieledwie każdy z oficerów i żołnierzy uczył się dostosowywać swe działania, do działań otoczenia, a zarazem złożył dowód, że dla dobrego żołnierza niema położenia, z którego z honorem wyjść nie można.

Wśród mnóstwa bohaterskich czynów, dokonanych przez poszczególnych żołnierzy w czasie tych zmienionych co do szczęścia bojów, zaznaczyć chcę w swym

rozkazie te, które na szczególne uwzględnienie zasługują.

Major Śmigły-Rydz, wzięwszy na siebie zadanie, najczęściej nie odpowiadające, ani jego stopniowi, ani zdolnościom, nie tylko sam wytrwał na stanowisku, niezwykle przykrem pod względem moralnym, lecz złożył w bojach o lasek Koziniecki nowe dowody niezwykłego męstwa i spokoju przy największym niebezpieczeństwie. Majorowi przedewszystkiem przypisuję, że III batalion nie ugiął się przy spełnieniu zadania przewyższającego znacznie siły moralne przeciętnego żołnierza.

2. Podpor. Zygmunt Żarski-Radoński z III batalionu wykazał w boju o lasek Koziniecki nadzwyczajną odwagę i sumienną pracę wojenną, stojąc ze swym plutonem a potem zastępując zranionego dowódcę kompanii na zupełnie otwartej pozycji w piekielnym i bliskim ogniu karabinów maszynowych wobec widocznej przewagi nieprzyjaciela. Sam roznosił w ogniu amunicję wzdłuż linii ognia i rozdzielał ją pomiędzy żołnierzy. Wytrwał aż do otrzymania ciężkiej rany w głowę.

3. Podpor. Dorobczyński z III batalionu prowadził swój pluton w największym ogniu w kontrataku na nieprzyjaciela, który już się silnie okopał. Zdobył okopy, biorąc 84 jeńców z oficerem.

4. Podpor. Tunguz-Zawiślak z I bat. (były IV) z pułku w ataku na Swojków prowadząc prawoskrzydłowy pluton, z własnej inicjatywy skierował

go przeciwko flankującym atakujący batalion rosyjskim karabinom maszynowym i porywając za sobą swych podkomendnych pierwszy wpadł do okopów rosyjskich biorąc kilkudziesięciu jeńców i 2 karabiny maszynowe.

5. Podpor. Kołodziejski z VI batalionu będąc opadniętym w nocy na forpocztach przez całą kompanię grenadyerów rosyjskich, poraniony wybuchem granatu (kilkanaście ran) wyprowadza placówkę dzielnym atakiem na bagnety do swego batalionu.

6. Sierżant Dańko Jerzy z I bat. przy ataku na Przepiórów 23/V, będąc z sekcją na samym przedzie wziął szybkim atakiem na bagnety 1 oficera, komendanta służby wywiadowczej i 1 żołnierza. 26/V na czele 15 ludzi poszedł skrycie pod Kamieńcem do samych okopów rosyjskich, gdzie nie pokazując swej siły wezwał nieprzyjaciela do poddania się. Gdy zaś będący w okopach oficer rosyjski, komendant kompanii, strzelił do niego, nakazał garstce swych podkomendnych dać salwę do okopów, co miało taki skutek, że się nieprzyjaciel poddał w liczbie 150 żołnierzy i 1 oficera.

7. Podoficerowie Bernhart Bronisław i Wiśniowski Stanisław obaj z III batalionu wraz z wymienionym wyżej podpor. Dorobczyńskim prowadzili nieustraszenie pluton we wściekłym ataku na okopy nieprzyjacielskie — obaj legli śmiercią walecznych prawie u celu, przed poddaniem się Rosyan.

8. Sierżant II batalionu z pułku Brzozowski

Zygmunt i szeregowcy Jagoszewski Marian i Urbanowicz Michał po przełamaniu przez Rosyan frontu w lesie Płaczkowickim posłani na patrol we trójkę wzięli w Woli Konarskiej jako jeńców 58 żołnierzy rosyjskich, ścigających cofającą się linię 8 pułku.

9. Albin Stanisław, szeregowiec V batalionu dnia 21/V przy cofaniu się batalionu został w okopie nie zauważywszy odwrotu innych, pod krzyżowym ogniem okopał się z dwóch stron, a gdy nadszedł patrol nieprzyjacielski z 7 ludzi, ostrzeliwując ich z bliska zmusił do złożenia broni i odprowadził jeńców pod ogniem nieprzyjacielskim do komendy pułku.

10. Lachor Jan, szeregowiec tegoż V batalionu, cofając się przy odwrocie z Kozinka ostatni osłaniał celnymi strzałami odwrot swoich, a będąc zupełnie odcięty od swoich schował się w dole na ziemniaki, by po 24 godzinach spędzonych o głodzie przekraść się z powrotem do swoich.

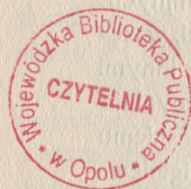
Wreszcie z przyjemnością wyrazić muszę wdzięczność i uznanie dla sanitaryuszów kompanijnych, którzy nie zważając na silny ogień nieprzyjacielski, wszędzie pełnili swą ciężką służbę, płacąc na równi z innymi żołnierzami krwią własną dług Ojczyźnie. Specjalnie dziękuję sanitaryuszom VI batalionu Muszyńskiemu Kazimierzowi, Bielohlawkowi Arturowi i Siemiginiewskiemu Antoniemu za nadzwyczajny akt odwagi, gdy z pod okopów nieprzyjacielskich wynieśli, niestety już

martwe ciało powszechnie szanowanego i lubianego kapitana Franciszka Grudzińskiego.

Rozkaz niniejszy przeczytać we wszystkich kompaniach, szwadronach, bateriach, oddziałach karabinów maszynowych i wojskowych instytucjach podwładnego mi oddziału.

Konary, dnia 5/VI 1915.

J. Piłsudski, mp.



BITWA POD KONARAMI.

SPIS RZECZY:

	Str
Przejście I. Brygady przez Nidę	7
Po drodze	15
Bitwa pod Konarami	25
Nabożeństwo po bitwie	45
Podwieczorek po bitwie pod Konarami . .	49
Grób Herwina	55
Śmierć Porucznika Fr. Grudzińskiego . .	61
Kwieciński, Darocha, Bagniewski	67
Rozkaz dzienny Brygadiera Piłsudskiego .	73
Mapka, ilustracye.	

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM KEK 317103



000-317103-00-0